

# Stanisław Lem, Jagna Malejka

---

## Dlaczego przestałem pisać science fiction? [opracowała i przygotowała do druku Jagna Malejka]

---

Postscriptum nr 1(51), 31-40

---

2006

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# LEM O SOBIE

Stanisław Lem

**Dlaczego przestałem pisać science fiction?<sup>1</sup>**

**Dlaczego przestałem pisać science fiction?**

Na to pytanie udzielałem często niejasnych odpowiedzi.

Po stanie wojennym mieszkaliśmy w Austrii, w Wiedniu, w wynajętym, bardzo ładnym domku. Najpiękniejszą częścią tego domu był ogród, a w tym ogrodzie rosła bardzo piękna śliwka. Takich pięknych śliwek u nas w Polsce nie ma, bo one wymagają cieplejszego klimatu.

Sprawy klimatu pozostawmy jednak na boku, chociaż bardzo mnie fascynują. Uważam bowiem, że na kuli ziemskiej od dłuższego czasu zachodzą zmiany klimatyczne. Zmiany występują nie tylko na północy i południu, ale także w strefie umiarkowanej, w której my się znajdujemy. Pochodzę ze Lwowa. Kiedyś te rejony nazywały się Galicją, teraz to jest Ukraina. Zostałem stamtąd wypędzony z rodziną. Tam panował klimat kontynentalny. To znaczy jak była zima, to była zima. O żadnych odwilżach nie mogło być mowy. Lato było bardzo spokojne i ciepłe. Teraz natomiast klimat przypomina duży baniak pełen białizny postawiony brzegiem na kuchence gazowej. Wskutek częściowego nagrzewania pojawiają się kłęby kondukcyjne, które powodują, że wszystko się kręci, kotłuje. Zmiana wyżów i niżów jest coraz częstsza, co frustruje niektórych meteorologów, zwanych pospolicie synoptykami. Czują się odpowiedzialni za swoje prognozy, co jest oczywiście nonsensem, bo oni odpowiedzialności za pogodę nie ponoszą.

---

<sup>1</sup> Publikowany przez nas tekst składa się z fragmentów wypowiedzi wygłoszonej przez Stanisława Lema do studentów Szkoły Języka i Kultury Polskiej UŚ. Spotkanie odbyło się w Krakowie, w domu pisarza, w sierpniu 1999 roku.

Wracając jednak do rzeczy. W 1988 r., kiedy kończyłem w Wiedniu pisać jedną z ostatnich moich książek, pojawił się na terenie ZSRR Gorbaczow i nastąpiła tzw. *glasnost*. Moja żona dała pierwszą wiarę temu, że to już nie jest odwilż symulowana, ale prawdziwa i w związku z tym warto wracać do Polski. Tak też uczyniliśmy. W 1988 r. wróciliśmy do Polski. Dom, w którym z Państwem teraz rozmawiam, budowaliśmy po stanie wojennym, był więc wykończony i mogliśmy w nim zamieszkać.

I jakoś tak przeszła mi ochota do pisania science fiction.

### **Pisarz science fiction w epoce biotechnologii**

Odpowiedź na pytanie, dlaczego mi przeszła ochota do pisania science fiction, jest trudna. Nie znaczy to, że w mojej imaginacji porobiły się jakieś suche obszary, że już nie jestem w stanie niczego wymyślić, co by było fantastyką naukową. Myślę, że zbiegło się tutaj kilka różnych przyczyn.

Po pierwsze — co nie było przeze mnie ani zamierzone, ani zawinione: wiele zjawisk, problemów, rzeczy, spraw, o których pisałem jako o fantazmatach odległej przyszłości, stało się rzeczywistością. Nie mogłem więc już spokojnie pływać w fantazjach. Mój status wyglądał tak, jakbym znajdował się na łodzi podwodnej, podczas gdy głębokość wody, w której znajduje się łódź, gwałtownie się obniżała. Łódź staje wreszcie na dnie i zaczyna się jednocześnie wynurzać. To, co sobie wyobrażałem i umieszczałem w bardzo dalekiej, nieokreślonej przyszłości i co mnie ośmielało do rozwijania skrzydeł fantazji, zaczęło się stawać rzeczywistością. Kiedy coś wymarzonego staje się rzeczywistością, z reguły jest tak, że to, o czym się marzyło, realizuje się zawsze jako mniej nadobne, piękne, korzystne i pożyteczne dla ludzkości.

Jeden z pionierów kosmonautyki w carskiej Rosji wyobrażał sobie, że rozwój kosmonautyki spowoduje przyjaźnię ludów i rozpocznie się epoka pokojowa. Mniej idylliczny w swoich mniemaniach politolog amerykański Francis Fukuyama pisał trochę później, że nastąpi koniec historii, tzn. że odtąd prawie wszędzie będzie panował kapitalizm rynkowy i że będzie bardzo nudno. Będzie ogólny dobrobyt, w którym wszyscy będą się rozplýwali jak cukier w herbacie. Czytałem ostatnio jego wypowiedź, w której stwierdził, że go źle zrozumiano. Miał podobno na myśli tylko koniec historii w rozumieniu ruiny marksistowskiej idei postępu prowadzącego do komunizmu. Kiedy wszyscy mają wszystkiego w bród, to robi się strasznie nudno.

Myślę, że wielu z państwa tu obecnych poznało wątpliwe uroki systemu zaprowadzonego przez Sowietów. Był to system, w którym zdobycie dziecięciu deko szynki albo pary butów było wielkim problemem. Nabycie bu-

tów, szynki, a czasem nawet chleba, sprawiało wielką radość. Teraz można iść i po prostu kupić. I oczywiście nie całkiem tak rozumiał to Fukuyama, ale wyobrażał sobie, że powszechnie zapanuje nuda dobrobytu i ta nuda będzie dokuczliwa. On teraz wykręca się trochę sianem, twierdząc, że miał na myśli tylko historię w rozumieniu nieustającego postępu. Podczas kiedy faktem jest, że historia jako szereg zjawisk, przeważnie nieoczekiwanych, wcale się nie skończyła. Nie trzeba przypominać katastrofy trzęsienia ziemi w Turcji, które przyniosło kilkanaście tysięcy ofiar, ażeby zorientować się, że o żadnym końcu historii nie ma mowy. Dowodzą tego choćby sprzeczne ruchy polityczne. Z jednej strony mamy dążenia do dezintegracji (np. rozpad całej Jugosławii, która była sklamrowana komunizmem za czasów Tity), a z drugiej strony tendencje integracyjne (np. zjednoczenie się Niemiec). Jednym słowem sytuacja jest historycznie nowa.

Przewidywanie przyszłości, które do niedawna nazywano futurologią, jest bardzo niewygodne. Kilkanaście lat temu mówiono: „albo będzie wojna nuklearna, albo nie będzie”. Wóz albo przewóz. Obecnie okazuje się, że mogą powstawać konflikty lokalne, lokalne wojny, a w tych sytuacjach przewidywanie zakresu zjawisk politycznych jest na granicy niemożliwości.

Przyznam się państwu, że ja osobiście, po oszacowaniu wartości różnych nauk, zawsze najmniej cenilem sobie politologię. Tu jeszcze nigdy nikomu nie udało się niczego przewidzieć. Właściwie wszystko dzieje się odwrotnie, niż się tego spodziewamy. Rosja utraciła status państwa będącego równoważnym przeciwnikiem Stanów Zjednoczonych. Jeden ze znanych polityków (dawniej sowieckich, teraz rosyjskich) powiedział do Billa Clintona: „Ukradliśmy wam wroga”. Związek Radziecki rozsypał się jak babka z piasku.

Oprócz tego zaczęły dochodzić do głosu lokalne tendencje nacjonalistyczne. Pojawiły się narodowości, o których nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją. Takie kraje jak Czeczenia, oczywiście, istniały, ale niewiele się o nich mówiło, bo były trzymane krótko przez Związek Sowiecki, który przy całym swoim okrucieństwie wszystkie je spajał. Zaczęła się pojawiać rzeczywistość, najbardziej przypominająca spokojną równinę oceanu albo morza, które traci na głębokości. Zaczyna się pojawiać to, co było na dnie, gdzie nigdy nie jest gładko i równo. Marzyło się o energii atomowej, której początek wykorzystywania przypadała na lata czterdzieste i pięćdziesiąte. Miała dostarczyć nam bezpłatnej energii na tysiąclecia, a teraz panuje powszechny strach. W Niemczech Partia Zielonych wymusza na kanclerzu Schröderze rezygnację z energii atomowej. Rozpoczęły się spory, ile to wszystko będzie kosztowało. Sumy przeszły w miliardy marek, ale najgorsze jest to, że przy utracie takiego dużego potencjału energetycznego trzeba przejść na inne źródła.

dła energii, tzn. na źródła kopalne — gaz i węgiel, które przy spalaniu przetrzucają do atmosfery dwutlenek węgla. Powoduje to ocieplenie klimatu i może grozić zmianą biegu wielkiego globalnego kołowrotu prądów morskich, cyklonów i antycyklonów.

Sytuacja jest bardzo niedogodna dla kogoś, kto chciałby pisać o przyszłości jakieś miłe, łagodne baśnie. Spod powierzchni tych baśni mogą się wyłonić obrazy i krajobrazy dość ponure. Jeden choćby przykład. Oprócz Chin, które mają przeszło 1250 milionów mieszkańców, teraz również Indie przekroczyły już liczbę miliarda ludności. Oblicza się, że do połowy przyszłego stulecia będzie 10-12 miliardów ludzi na ziemi. Sytuacja przypomina pewne doświadczenia psychologów i zoologów amerykańskich, którzy szczerom w zamkniętych pomieszczeniach pozwalali się dowolnie rozmnażać. Szczurów było coraz więcej, zaczynały się wściekać, gryźć nawzajem siebie i swoje potomstwo. Ich nadnercza zaczynały produkować hormony stresowe. Podobnie, gdyby w pomieszczeniu, w którym rozmawiamy, znalazło się znacznie więcej ludzi niż w tej chwili, zaczęłoby się robić nieprzyjemnie. Gdyby tu było sześć razy tyle osób, musielibyśmy leżeć jak sardynki w puszcze, a to już nie jest wygodna pozycja.

Fantastyka naukowa wprawdzie zajmowała się pewnego rodzaju wycinkiem katastrof mogących wydarzyć się w przyszłości, ale były to katastrofy, że tak powiem, fotogeniczne. Jak się ogląda telewizję amerykańską, to można zauważyć, że Amerykanie z wielką lubością przedstawiają w filmach katastrofy, o których można powiedzieć, że są to katastrofy „urodziwe”. „Urodziwa” katastrofa polega na tym, że krew się leje i trupy padają w wielkich ilościach, ale każdy dorosły wie, że jak się takie widowisko skończy, to wszyscy pomordowani za kulisami wstaną i pójdą na piwo. Niestety, dzieci traktują tego rodzaju widowiska ze zbytnią powagą. Jak uzyskają dostęp do broni, to zaczynają strzelać, a potem się dziwią, że ci, do których strzelali, nie wstają i wszyscy są martwi.

Zastanawiam się, czy ilość durniów na świecie jest pewną stałą procentową. Czy jak mamy 1000 ludzi, to 10 idiotów zawsze się znajdzie? Mamy 100 000 — to odpowiednio więcej? A może im więcej ludzi, tym ilość durniów rośnie w sposób ekspozycjalny, czyli wykładniczy, więc jest ich coraz więcej? Jeśli nawet nie jest ich coraz więcej, to w każdym razie robią coraz więcej szumu. Ostatnio były zamieszki w Polsce, w wyniku których 80 policjantów poszło do szpitala. To jest oczywiście spowodowane tym, że my nie mamy w Polsce ustroju demokratycznego, my mamy ustrój anarchiczno-syndykalistyczny, tzn. im silniejsza grupa społeczna, tym silniejsze i energiczniej artykułowane są jej wymagania. Lekarze mogą przestać leczyć, górnicy zamykają się w podziemnych sztolniach, a chłopci obrzucają minister-

stwo masłem. Muszę powiedzieć, że mnie to jako człowieka starego dosyć dziwi, bo przed wojną w latach 20. i 30. to było nie do pomyślenia, żeby chłop rzucał masłem, ponieważ masło było na wagę złota. Teraz mamy za dużo niedobrej wolności. Niedobra wolność to jest taka, kiedy każdy, kto ma dobre układy i dojścia do centrum władzy, może komuś rozbić głowę albo zrobić strajk tam, gdzie mu się podoba.

I znowu odszedłem od tematu. Zatem: weszliśmy w epokę, którą przewidywałem w swoich opowiadaniach i powieściach fantastycznych, w epokę biotechnologii. Łatwość dostępu zabiegów upiększających zaowocowała w USA masowym postępowaniem chirurgii plastycznej. Kobietom wszywa się silikonowe wkładki do piersi, usuwa nadmiar tłuszczu, podnosi pośladki. Jednak kiedy jest możliwy dobór płci u dzieci nienarodzonych, kiedy jest możliwe prawie wszystko, to nie jest to wizja zachwycająca. Zaczyna to wykraczać poza najdalszą rubież fantastyki, staje się rzeczywistością i wtedy traci baśniowy urok. Możliwe są nie tylko metody antynaturalistyczne, antykonceptyjne, ale także możliwe jest klonowanie, czyli przełamanie bariery transgenicznej pomiędzy różnymi gatunkami. Widziałem żywą żabę, która miała wyhodowaną na plecach małżowinę ucha ludzkiego. Jest to pewnie nieprzyjemne dla żaby, ale dla ludzi, którzy to oglądają i myślą sobie, co z tego będzie, jest jeszcze bardziej nieprzyjemne. Dowiedzieliśmy się, że nasze zegary biologiczne uwarunkowane są dziedzicznością. U myszy znaleziono tzw. gen cnoty, który zmusza mysiego samca do wierności swojej towarzyszce. Wyobraźmy więc sobie mężczyznę, który ma tendencje do bycia Don Juanem, a tu mu wstawiają gen, który go zmusza do wierności. To zmuszanie biochemiczne i genetyczne — nawet do zachowań pożądanых — wydaje mi się niewłaściwe. Oczywiście, gdyby operacje genowe sprawiały, żeby ludziom takim, jak ja — łysym — odrastały włosy albo zęby, to nie byłoby źle!

Możliwości, które się realizują, wymagają opanowania legislacyjnego. Tymczasem praktyka wykazuje, że prawo stanowione wlecze się w ogonie tzw. postępów, chociaż jest rzeczą wiadomą, jak się ma społecznie występek do cnoty. Stałem kiedyś na ulicy i pomyślałem sobie, że gdyby wszystkie auta, które jednym wielkim strumieniem pędzą ulicami zostały zmniejszone o liczbę aut nabytych wskutek nielegalnych transakcji, to by się zrobiło całkiem pusto. Ilość osobników, którzy są w stanie kraść, ulegać korupcji, dokonywać czynów przestępczych wzrasta. Czy jest to proporcjonalne do ogólnego wzrostu populacji? Trudno ustalić.

## Współczesne kino i telewizja

Gdyby taka katastrofa, jak trzęsienie ziemi w Turcji, wydarzyła się sto lat temu, to dowiedzielibyśmy się o tym z gazet po tygodniu. A teraz już na drugi dzień mamy na miejscu helikoptery z kamerami i natychmiast wszystko to pakuje się nam do pokoju przez szklane okno telewizora, które po prostu bucha strumieniami trupów. Nadmiar drastycznych scen powoduje zubożenie. Dla przeciętnego Anglika wiadomość, że jego sąsiad złamał nogę jest przykra mniej więcej w tym samym stopniu, jak wiadomość, że dziesięciu Węgrów utopiło się w Dunaju albo tysiąc Chińczyków zginęło w Chinach. Im dalej, tym jakoś mniej strasznie. Potęga liczby jest niezwalczona i nie ma sensu wmawianie nam, że życie jednostek ma zawsze taką samą wartość.

Do osłabienia wrażliwości widzów prowadzi też epatowanie przemocą w filmach fabularnych. Możemy sporządzić listę tematów i przedmiotów, które są niezbędne do stworzenia widowiska telewizyjnego. Po pierwsze potrzeba kilku samochodów, z których połowa wybuchnie gdzieś po drodze. Poza tym potrzeba kilku kałuszników, następnie kilku komputerów. Ci, którzy pracują na tych komputerach, są bardzo ważnymi osobami. Pozostaje jeszcze pytanie: o co oni się wszyscy w filmie kłócą i o co tu chodzi? O marihuanę, o kokainę, ewentualnie o skarb Inków, czyli o forszę, albo o coś, co można zamienić na forszę.

Jeszcze tylko w niemieckiej telewizji widać czasami sceny, że ktoś kogoś zaciukał z miłości albo z zazdrości — ale i tam to wielka rzadkość. Niedawno rozmawiałem z moim niemieckim agentem. On telewizji nie ogląda. Wypożycza sobie stare czarno-białe filmy, bo miło jest je oglądać: wszystko dzieje się wesoło i spokojnie. Ostatnio był w niemieckiej telewizji benefis Hitchcocka. Chociaż były to filmy kryminalne, to przecież tam trupy zdarzały się bardzo rzadko. Teraz zaś następuje licytacja okrucieństwa. We wczesnych latach 30., kiedy miałem 14, 15 lat, wyprawa do kina z rodzicami czy z kolegami była przeżyciem. W silniejszych momentach waliłem ze wszystkich sił ojca łokciem w bok. Poruszały człowieka *King-Kong*, *Czarna komnata*, chociaż czarno-białe. Teraz, aby ktoś w ogóle raczył pójść do kina, muszą być pokazywane jakieś masowe masakry. W starych filmach bardzo rzadko, jak migdał w torcie, pojawiała się jakaś drastyczna scena i wtedy było to coś bardzo wstrząsającego. We współczesnych filmach krew zalewa nas z ekranu falami.

Wynika z tego, że istnieje jakiś niedobry rodzaj postępu. Nie jestem żadnym wstydliwym purystą, ale uważam, że nie może się wszystko zasadać na tym, że tylko krew, seks, forsa i nic więcej. Co prawda pisze się, że coś

by należało zrobić, aby ilość mordów na telewizyjną godzinę emisyjną wynosiła jakąś skromną stałą, której nie można byłoby przekraczać. Jednakże uchwalenie ustawy, która ograniczałaby nawet fikcyjną ilość mordów, jest bardzo trudne. Jeden z producentów amerykańskich, usłyszawszy, że mógłby być ograniczony w ilości pokazywanych morderstw, wydał okrzyk trwogi: „A co my będziemy pokazywali, kiedy nikt nikogo nie zabija?!”

W filmach amerykańskich do ulubionych motywów należy też taki: między piętrami wysokościewca zostaje wskutek jakiejś niewiadomej awarii czy działań terrorystów zatrzymana winda i oczywiście wśród pasażerów jest kobieta, która właśnie rodzi. Kiedy w końcu dziecko szczęśliwie przychodzi na świat, to wcale nie jest to noworodek, ale przynajmniej półroczne niemowlę. Nie ma pępowiny, łożyska i wszystko jest od razu gotowe. Licha komedia obliczona na to, by zwiększyć napięcie, a przecież i tak każdy wie, że to się dobrze skończy. Gdyby się źle skończyło, scenarzysta mógłby stracić pracę. Panują żelazne schematy. Taka mechanizacja i schematyzacja wcale nie jest lepsza niż ta z czasów, kiedy panował komunizm i pokazywano nam rozspiewanych traktorzystów. To jest też schematyzm, tylko inny.

Ostatnio pojawiła się nowa część *Gwiezdnych wojen*. Oglądałem i wydaje mi się beznadziejnie głupia. Krytyka amerykańska też tak uważa. Ale to nic nie szkodzi: w pierwszych dniach projekcji film zarobił kilka milionów dolarów. To świadczy albo o pogorszeniu się ogólnego smaku, albo o tym, że tak zwane społeczeństwo permissywne rozhulało się na całego. Z jednej strony mamy coraz doskonalsze technologie, orbitalne transpondery, a z drugiej strony treści przekazywane są coraz krwawsze, głupsze i nudniejsze. Jakby to była odwrotna proporcjonalność.

Wszystko to wpływa zniechęcająco na twórcę takiego, jak ja. Nie mam ochoty sprzedawać praw do ekranizacji moich książek. Zwykle odmawiam. Zaczęło się to jakiś czas temu fantastyczną historią zatytułowaną *Przekładaniec*, w której pewien kierowca wyścigowy w czasie katastrof samochodowych po kolei traci odnóża: części rąk i nóg. Zostaje następnie sprotezowany i pod koniec firma, której jest winny za te wszystkie protezy, skarży go i chce rozebrać na kawałki. Wajda zrobił z tego niezły półgodzinny filmik. Potem ktoś z Leningradu zwrócił się do mnie o pozwolenie ponownej realizacji z drobnymi wariacjami. „Dobrze — powiedziałem — zgadzam się”. Pisał później do mnie mój agent z Moskwy: „Widziałem w telewizji pański *Przekładaniec*. Kupa gołych dziewczyn się tam rusza”. „Na miłość boską, jakich gołych dziewczyn? Przecież tam nic takiego nie było!” „Oni wstawili, żeby było ciekawiej”. Co mogłem zrobić? Przecież nie wypowiem wojny Rosji. Najbezpieczniej jest po prostu odmawiać. Ja odpowiadam za każde słowo,



które napiszę, ale jak ktoś mi wstawia gołe dziewczęta tam, gdzie ja sobie tego nie życzę, to już nie mam na to żadnego wpływu.

Jak się nie ma zamiaru ryzykować, to lepiej w ogóle nie zaczynać. Próbowałem różnych chytrych wybiegów. Na przykład, kiedy jeden Amerykanin chciał nabyć prawa do mojego utworu, powiedziałem mu: „Zgoda, ale w umowie umieścimy pewien paragraf. Cała produkcja ruszy tylko pod warunkiem, że przed rozpoczęciem otrzymam scenariusz i jeśli mi się nie będzie podobał, to pociągnę za rączkę hamulca bezpieczeństwa”. „Proszę pana, to nas kosztuje miliony dolarów, a pan będzie hamował nasze twórcze zapędy? Tak nie może być”. To znaczy ja muszę im oddać nie tylko tekst, ale i prawo do zmian. To mi się bardzo nie podobało.

Niektórzy jednak mówią mi: „Proszę pana, przecież nie można ciągle stać w progu domu i pałąk odganiać od siebie wszystkich reżyserów. Tak się nie robi. Trzeba od czasu do czasu wychodzić naprzeciw oczekiwaniom publiczności”. Niedawno więc zawarłem umowę na filmową adaptację mojego tekstu. Zobaczmy, co z tego będzie. Może zarobię trochę grosza, ale czarno to widzę. Może nie będzie samych gołych dziewcząt, ale być może wytną tam takie historie, od których pociemnieje mi w oczach?

### **Współczesny pisarz, księgarnie i czytelnicy**

Zaczynam zresztą dawać wiarę tym, którzy twierdzą, że epoka słowa drukowanego zmierzcha. Znacznie wygodniej jest siedzieć na kanapie i oglądać telewizję, aniżeli męczyć się lekturą. Trzeba układać litery w słowa, słowa w zdania, zdania w teksty, a na ekranie wszystko leci automatycznie, nie trzeba się zastanawiać, można być skończonym analfabetą i mieć z tego dużo przyjemności. Podobno zresztą nie będziemy się już męczyli kupowaniem książek. Kładzie się człowiek do łóżka, stawia sobie na brzuchu niewielki komputer, pojawia się wybrana książka, naciska się guzik i przewraca się strona. Ja bardzo przepraszam, ale ja nie lubię czytać w ten sposób. Tu przyznaję się do pokrewieństwa ze zwierzętami. Jak biorę książkę do ręki, to najpierw ją powącham, bywają książki, które mają bardzo miły zapach. Przyjemnie jest, kiedy książka jest ładna, ilustrowana.

Jak się wchodzi do księgarni, to dokopać się do dobrej książki jest niesłychanie trudno. Wypisują jakieś potworne brednie. Nie tylko w Polsce, ale i we Frankfurcie czy w Wiedniu wchodzić do księgarni, widzę ogromne stoły załane masą makulatury, oglądam to i nieraz wychodzę z pustymi rękami. Tego, czego szukam, właśnie nie ma. Domaganie się i proszenie, aby książkę sprowadzili napotyka albo zdziwione spojrzenia, albo informację, że

nakład jest wyczerpany. Bardzo rzadko się zdarza, że wydawca znajduje w piwnicy jeszcze jakiś egzemplarz.

W dodatku mam nieszczęście być znanym człowiekiem, któremu początkujący pisarze przysyłają swoje pierwsze płody do oceny. Zdarza się raz na 100, raz na 150 razy coś wartościowego i udaje mi się to wysłać w świat, ale z reguły są to rzeczy bardzo, bardzo niedobre. Oczywiście, jako człowiek stary mam gust staroświecki. Nie lubię współczesnej poezji, bez rymu, bez rytmu itd. A poczta przychodzi bez żadnej litości. Całe paczki tego wszystkiego i ja sam jeden. Dwie ręce, dwoje oczu i ograniczony czas. Wszystko to razem wzięwszy powoduje, że zniechęcenie moje rośnie.

Są tacy ludzie, którzy wpadają na pomysł, aby wysłać do mnie list z prośbą o autograf. Z reguły jest napisane, żebym podpisał się tam, przykleił znaczek, wysłał i dołączył dwie kolorowe fotografie. Dlaczego dwie? Jedna dla tego, kto wysłał, a druga na wymianę na jakiegoś lepszego autora. A ja nie mam worka z fotografiami! Nie jestem gwiazdą filmową. Ostatnio zwróciła się do mnie firma Netia, proponując, żebym wysłał zdjęcie, to oni będą się moim zdjęciem reklamowali. Nie używam ich wytworów, więc byłoby to oszustwo, a po drugie, ja nie jestem aktorem i po prostu się do tego nie nadaję.

Pojutrze muszę wygłosić mowę dla filozofów, potem dla fizyków. „Niech pan mówi, o czym pan chce”. Paradoksalnie jedyny właściwie fach, który nigdy się do mnie nie zwracał z prośbą o wypowiedź, to fach ginekologów położników. Nie czuję się tym dotknięty, bo od medycyny uciekłem. Moja rodzina była lekarska. Ojciec mówił: „Co to jest literatura? Weź się do jakiegoś porządnego zajęcia”. I w 1948 roku skończyłem studia medyczne. Przez kilka tygodni miałem praktykę na położnictwie. Czasami tylko nie przeszkadzałem siłom natury, czasami im pomagałem. Praca położnika to zajęcie bardzo krwawe i to był jeden z powodów, który mnie odstręczył od zawodu lekarza. Dwa razy asystowałem przy cięciach cesarskich i wtedy przysiągłem sobie w duszy, że ucieknę z tego terenu. Rzeczywiście, potem nie miałem już nic wspólnego z medycyną.

Ale bywam proszony o wypowiedzi na różne tematy. Redaktorka pisma „Pani” poprosiła mnie ostatnio, bym powiedział „o przyszłości świata”. Gdybym znał przyszłość świata, to przecież siedziałbym teraz u prezydenta Clintona w złotej kasie pancерnej i był żywiony przez specjalny lufcik, a nie pisał jakies dyrdymały do „Pani”! Myślałem, że jak się kończy 70 lat i jest się emerytem, to już się nic nie musi robić. Nic podobnego, jest jeszcze gorzej.

Na pytanie, które postawiłem na wstępie: dlaczego przestałem pisać fantastykę naukową, nie udzieliłem odpowiedzi, bo jej nie znam. Dobrze wychowany człowiek wie, kiedy trzeba wstać od stołu. Dobrze wychowany człowiek nie zjada całego tortu. Uważam, że trzeba coś zostawić innym, mło-

dszym. To, kiedy się przestaje pisać, to kwestia dobrego wychowania. Trzeba lekko głodnym wstawać od stołu — oto moja dewiza.

Nie wiem, w jakim stopniu było dla państwa zrozumiałe to, co mówiłem w tym dziwnym, polskim języku, ale to już chyba wszystko, co miałem do powiedzenia.

Opracowała i przygotowała do druku Jagna Malejka

Przedruk z: „Postscriptum” 1999, nr 30, s. 10-19.

Dr **Jagna Malejka** współpracuje ze Szkołą Języka i Kultury Polskiej Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, obecnie jest lektorką języka polskiego w Pekinśkim Uniwersytecie Języków Obcych w Chinach.

